Środa. Kraków, dnia 15go Listopada. 1865.

NOWINY ZE ŚWIATA.

Nr. 10. Rok III.

Wychodzi dwa razy w miesiąc 1go i 15go. Pojedynczy numer kosztuje w Redakcyi 10 c.

Inseraty przyjmują się za opłatą po 4 centy od wiersza i 30 centów na stępel, za każde umieszczenie.



Przedpłata wynosi: rocznie 3 złr. — półrocznie 1 złr. 50 cent.

Przyjmuje się najmniej półroczną przedpłatę, przesyłka ma być adresowaną do miejsca Redakcyi pod liczbą **93** przy ulicy Grodzkiej.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kozak-Polak.

Wspomnienie z Syberyi.

Gdy przechodziłem ulicą Kiachty, do ucha mego doleciał głos skrzypiec, a z niemi znane polskie ludowe pieśni. W chacie malutkiej i niziutkiej rznął ktoś krakowiaka: „Alboś my to jacy tacy, jacy tacy — chłopcy krakowiacy, chłopcy krakowiacy.“ Stanąłem i zacząłem się wsłuchiwać w ukochaną muzykę, i poczułem, że mi serce zadrgało i łza gwałtem wydobywała się z oczu. Otarłem ją, żeby nie obudzić ciekawości ludzi, którzyby nie pojęli łzy, wydobytej tem brzmieniem, i nastroiłem duszę do wrażeń, które tłumnie wraz z wspomnieniami do niej się cisnęły. Muzykant grał prawdziwie po krakowsku; zacięcie smyczka tęgie — ton za tonem płynął składnie, płynnie, z ową fantazyją rzeczywistą, jaką odznacza się gra wszystkich naszych parobków. Muszkuły moje zaczęły w ruch przychodzić, a wtorując głosem i nogą krakowskiemu graniu, wszedłem do chaty, gdzie siedział sam jeden, bez słuchaczy muzykant, i na czerwono pomalowanych skrzypcach, z pochyloną głową, błyszczącemi oczami, wybijając takt nogą, grał pocieszając muzyką boleści i tęsknotę swoją.

Był to człowiek nie wielkiego wzrostu, szerokopleczysty, jak wszyscy krakowiacy. Twarz biała, rumiana, od słońca pociemniała, miała w sobie ów wyraz dobroci, szczerości i dzielności, jaka charakteryzuje oblicza naszych szczególnie krakowskich włościan. Była to twarz miła i podobać się mogła; włosy ciemne, oczy błękitne, nos lekko ale nie zanadto zadarty; z pod skóry na brodzie ciemniał czarny zarost, a cała postać ożywiona jakimś poetycznym ogniem, przychylność dla grajka budziła.

Przywitaliśmy się po polsku, i prędko byliśmy z sobą jakby od dawna znajomi.

Prosiłem go, żeby wziął znowu skrzypce, i wyrznął polskiego.

Zagram panu zabronione w Polsce śpiewy.

Dobrze, graj Janku; zabraniają nam grać w Polsce nasze serdeczne śpiewy; tu nam nie są wstanie ich zabronić. Graj więc.

I zagrał Janek: Marsza Dąbrowskiego, a potem Trzeciego Maja, Chłopickiego mazura, i wiele innych śpiewów, które budzą życie, a których słuchanie w każdym Polaku obudza zapał, uniesienie

serca, a w niem te uczucia, które wywołuje muzyka wojennych działań. Janek grał dobrze i dużo umiał grać, chociaż nut nie znał. Zaśpiewałem mu melodyję do pieśni „o ziemi naszej“ i zaraz ją wygrał.

A slązkie sztuki będzie pan słuchał? i zagrał kilka polek, walców, z doskonałością i biegłością, która okazywała wiele zdolności i wprawy muzykalnej. Lud nasz lubi skrzypce, a rzępolenie jego nie raz bywa przyjemniejsze, od grania skrzypacza, dawającego koncerta w różnych miastach Europy. Ma on dużo talentu i usposobienia muzykalnego, gdy Bóg da, że lepsza zaświeci nam dola, gdy wolność, dobry byt i oświata będzie udziałem naszego ludu, wyda on z grona swego mnóstwo niepospolitych mistrzów.

Janek był kozakiem; jakim zaś sposobem skozaczyli go, dowiedzą się czytelnicy z przygód jego życia, które w późniejszym czasie z jego opowiadań poznałem.

Ojciec mój, mówił Janek, był gospodarzem w Olkuskim powiecie. Włóczył się też on jak i ja teraz po świecie. W 1831 r. był żołnierzem, a powróciwszy z panem do domu, wychowywał trzech swoich synów. Jeden tylko z nas pozostał w domu, i dzisiaj ma żonę i gospodarkę. Drugiego brata wzięli Moskale do wojska, i ani słychu o nim nie ma, przepadł jak kamień w wodzie. Ja nauczyłem się czytać nabożne książki, od dziecinnych lat grywałem na piszczałce, a potem i na skrzypcach. Gdym już dorósł i pasłem owce, ze skrzypką chodziłem w pole, a w święta grywałem dziewuchom i chłopakom do tańca w karczmie. Pewnego razu posłał mnie ojciec pod Miechów; tam jak chłopcy usłyszeli moje granie, nie chcieli mnie puścić od siebie i dwa tygodnie wozili z wesela na wesele, częstując a zapraszając, żeby się jeszcze między nimi zostać. Oj, tędzy to i skorzy są do bitwy ci Miechowianie! W jednej karczmie, gdy się panowie do dworu zjechali, furmani ich poszli do karczmy i chcieli wszystkich parobków wygnać ztamtąd, a sami się bawić. Wszczęła się straszna bitwa, mnie skrzypce złamali, furmanów odpędzili, a ile to nogawic, pół od surdutów zostało, ile to w karczmie natłukli, a i krwią nie jeden się oblał. Kupili mi skrzypce i nareszcie do domu odesłali. Ojciec mój turbował się bardzo o mnie i myślał, żem zginął, albo że mnie Moskale zabrali. Byłby mi skórę wyłatał, żem tak długo siedział, ale pieniądze które mi dawali na weselu, rozbroiły jego gniew. Nie długo jednak takie wesołe życie pędziłem; mój Boże! żeby to jeszcze te czasy wróciły się, żeby to choć jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć wolną naszą Polskę, pomodlić się w Częstochowie, i chociaż kości moje tam złożyć! Bo cóż to u nas za wesołość! proszę pana i muzyka i taniec, a jak to ptaki tam śpiewają, drzewa kwitną? a tu ani zobaczy, muzyki nie lubią, nie ma ptaków śpiewających, ani takiego zapachu od drzew kwitnących. Oj, nie ma, nie ma nadziei powrócić, a poszedłbym w jednej koszuli o żebranym chlebie, byle tylko jeszcze raz ukochaną Polskę zobaczyć.

I mnie Moskale chcieli wziąść do wojska; uciekłem więc za granicę do Górnego Szląska, gdzie lud jest bardzo dobry, dobrze żyje, muzykę lubi, i czysto koło niego. Dostałem się do kopalni węgla, i długo przy królewskiej hucie, koło Gliwic, Pszczyny, pracowałem. Trudno mi było z początku, ale potem człowiek się przyzwyczaił, był zarobek i dobrze się mi działo. Robota w kopalni bardzo ciężka, często wypadki bywają, to zasypuje, to skaleczy; a w lazarecie mnóstwo jest kalek, tak oszpeconych, poranionych, chromych, że aż strach spojrzeć. Ja pewnego razu pracując kilofem, usłyszałem śmiech skarbnika. Przestraszyłem się ogromnie, a ludzie mówili, żeby być ostrożnym, bo jakieś mnie nieszczęście czeka. Jakoż wkrótce i zdarzyło się nieszczęście. Pracowało nas kilku w korytarzu podziemnym, słuchamy, aż tu coś zaczyna trzaskać i walić się; węgle z góry zsypały się, zawaliły korytarz, i my w dziórze małej, jak ta izba zostaliśmy pod ziemią, nie mając żadnej nadziei wydo-

być się ztamtąd. Oj, strach to był wielki, zbledliśmy jak trupy, i klękliśmy, żeby modlitwę odmówić. Lampy innym pogasły, mnie tylko świeciła, obejrzałem ściany i znalazłem małą dziórę, przez którą można się było w inne miejsce kopalni dostać; przecisnąłem się jak piskorz, a za mną inni, a ledwośmy ztamtąd wyleźli, usłyszeliśmy jak strop tej komory, w której pracowaliśmy, zawalił się. A przy hucie, to jeszcze trudniejsze roboty; raz pękł kocioł, wielu pozabijało, niektórym oczy wyparzyło; a jednak proszę pana, choć trudno, milej mi tam było jak tutaj. Z robotnika zrobili mnie majstrem, i dobrze mi się działo. Polubiłem też tam jednę wdowę, młodą kobietę; miała dom swój, gospodarstwo i ubranie. Chciałem się z nią żenić, ale że to ja byłem z Polski, a nie poddany pruski, żaden ksiądz nie chciał dać ślubu; podawałem prośby do rządu, urzędnicy na różne formalności dużo ściągali ze mnie pieniędzy, a nic nie zrobili. Nie mogąc wziąść ślubu, żyłem z nią na wiarę; w rok po mojem wyjściu ztamtąd, wyszła za mąż. Pisała do mnie, gdym był w wojsku, do Rosyi, skarży się biedaczka, że mąż jej pijak i ladaco.

Większa połowa robotników (górników) w kopalniach i hutach górno-szląskich, z Polski przybyła, uciekając przed niewolą i wojskiem. Dawniej rząd pruski przyjmował, teraz wydaje nas Moskalom, jednak nie wielu wydał, bo gdyby był wszystkich wydał, toby huty stanęły, a w kopalniach nie byłoby komu robić. Fabrykanci więc nas bronili u rządu, i tak tam nas trzymali. Byli też pomiędzy nami i Moskale, którzy z wojska uciekli. I tym się dobrze powodziło, ani poznać w nich Moskali; nauczyli się po polsku, i w naszych kościołach się modlą, a niektórzy pożenili się tam. Raz jużem chciał do Ameryki pojechać. Jeździli tam od jakichś towarzystw ludzie, namawiali, żeby płynąć do Ameryki. Dużo Polaków naszych nie mogąc do domu wrócić, pojechało z nami, i teraz pracują przy fabrykach w Ameryce, jeden wrócił do nas, żeby więcej Polaków, jako dobrych do roboty, zabrać z sobą, i mówił, że im tam bardzo dobrze się powodzi. Taraz żałuję, żem nie pojechał do Ameryki, boćby mi tam zawsze było lepiej niż tutaj. Ale cóż tam, widać taka była wola Boża. Jak ten nowy cesarz wstąpił na tron, wydał manifest, że nam wolno do Polski wrócić, więc wielu pomiędzy nami pewni będąc, że po powrocie żadne im niebezpieczeństwo nie grozi, poszli do Polski. Mędrsi zostali, bo pokazało się, żeśmy się okropnie zawiedli. Ułaskawionych, niektórych zostawili w domu, a większą liczbę w kajdanach, bez sądu, posłali do wojska, i mnie wzięli i zaprowadzili do Olkusza, a ztamtąd związawszy mi w tył ręce powrozami, posłali transportem do Radomia. Okropna to była ta podróż. Ludzie patrząc na mnie związanego, wołali: „Złodzieja prowadzą!“ a ja, Bóg świadkiem, nikomu nigdy krzywdy nie zrobiłem. Gadania te okropnie mnie bolały; one sprawiły, że chociaż byłem niewinny, w oczy spojrzeć nie śmiałem. Nie mają proszę pana litości dla aresztantów, uciekają od każdego i wołają, że to złodziej; przecież powinni byli się już nauczyć litości dla niewolników, boć to i po wojnie mnóstwo uczciwych ludzi tak prowadzili Moskale, i co rok dużo niewinnych w podobny sposób pędzą. Przyjemniej i łatwiej byłoby znosić takie nieszczęście, gdyby był człowiek słyszał dobre słowo od przechodzących i żałość na twarzach widział. Tak skrępowanego przyprowadzili mnie do Wolbroma. Był tam jakiś szelma burmistrz bez żadnej litości, kazał mnie i innym przyprowadzonym, cały dzień drzewo rąbać, a nie dał nam 10 groszy strawnego, które się nam od skarbu należały. Na noc posadzili nas głodnych w jakąś brzydką izbę, nie było na czem ledz, tylko dwie garstki zgniłej słomy w kątach leżało. Na nogi wbili nam kłodę drewnianą i na łańcuchu przybili do ściany. Oj płakałem też, mój Boże, płakałem! Po robocie pić mi się zachciało, w drugiej izbie był stróż, prosiłem go więc o wodę bardzo uprzejmie, a on na to: „A czy to nie wiesz psia krew złodzieju, gdzie to studnia.“ Znów

mi się łza z oczów puściła i powiedziałem mu: „A cóż to nie wiesz, żeś my przykuci. Niech ci Bóg odpłaci za to brzydkie słowo.“ I tak głodni i spragnieni spędziliśmy noc całą. Na drugi dzień okropnie mi ręce ściągnęli, tak że aże zsiniały, i poprowadzili mnie do Miechowa. Tam przecież znalazł się litościwszy burmistrz, gdy zobaczył sine ręce i głębokie znaki od postronków, wpadł na stróżów i wołał: „A jakże też okrutni jesteście ludzie, patrzcie, coście wy mu zrobili, toć to on nie złodziej, nie rozbójnik, człowiek niewinny i litośc dla niego mieć powinniście,“ a mnie pocieszał, że mnie do Rosyi nie zapędzą, i że z Radomia niezawodnie mnie wrócą.

Gdy mnie wyprowadzili z Miechowa, stanęli dwaj co mnie transportowali stróże i rzekli: „Uciecze... trzeba mu ręce bardziej ściągnąć, daj na wódkę, to cię tak poprowadzimy.“ „Czyż wy się Boga nie boicie, zawołałem, żądać od niewolnika na wódkę, a zkądże ja mam mieć pieniądze? i wy nazywacie się Polacy i katolicy?“ „Uciecze, oj uciecze,“ odpowiedzieli mi na to, i skrępowali mi tak mocno ręce, że uczułem, jak mi krew pędziła do twarzy, a myślałem, że mi się rzuci oczami i nosem. Uszliśmy dwie mile, tak nie widząc bożego świata; stanęli przed karczmą i znów zaczęli: „Uciecze, mało jeszcze skrępowany, trzeba mu mocniej zaciągnąć.“ „Napijcie się mojej krwi, macie trzy grosze, więcej nie mam, a pamiętajcie, że wy i dzieci wasze będziecie tak chodzić“ — i zacząłem znowu płakać, bo mi lżej się robiło, gdym płakał. Wówczas jeden z nich ulitował się i rzekł: „Weź swoja trzy grosze człowiecze, nie chcemy nic od ciebie“ i zwolnił mi ręce.

(Dokończenie nastąpi.)

Co słychać w naszej Galicyi.

Gazeta „Hasło“ donosi, że w mieście Stanisławowie, wnieśli żydzi do sądu aże 25 tysięcy pozwów, za weksle chłopskie, t. j. takie kwity, za któremi chłopi byli winni żydom pieniądze, i to tak znaczne, że gdy sąd każe chłopom oddać te długi, toby dwa tysiące gospodarzy musiało za długi porzucić całe gospodarstwa, i pójść z torbami. Sąd w Stanisławowie tak się tem zakłopotał, że aże w tym względzie, posłał zapytanie do ministeryjum. A i tak już tam kilkudziesiąt chłopów siedzi w kryminale za długi wekslowe.

Nie mówiliśmy jeszcze do was nigdy o prawie wekslowem, bośmy myśleli, żeście się jeszcze do tego nieszczęścia nie wzięli; ale kiedy się już to złe i do was dostało, musimy o tem z wami obszerniej pomówić. Otóż ty jeden i drugi biedny człowieku, gdy cię na przednowku, lub w jakiej nagłej potrzebie bieda przyciśnie, a nie znajdziesz dobrodzieja takiego, lub przyjaciela, coby cię zaratował, toć wierzę żeś rad, gdy ci żyd, lub jaki inny lichwiarz pożyczy sumkę, bez zastawu, i z łatwością, za podpisanie się jedynie, na jakimś kawałku drukowanego papierka; o, ty myślisz wtedy żeś w niebie! a tu biedny człowieku, to tak jakbyś djabłu na duszę się podpisał, bo jak raz wejdziesz w długi wekslowe, to choćbyś sobie ręce poobrabiał, już z nich nie wyjdziesz. Bo widzicie, nie dosyć że na weksel trza opłacić wielki procent od pieniędzy, ale jeszcze do tego prawo wekslowe jest takie, że jak termin wypłaty mija, a ty się biedaku z długu nie wypłacisz, to ten czyj ten weksel, może cię każdego czasu przyaresztować; i gdy nie masz nic, to cię wsadzi do więzienia, a jak masz jakie majętności, to ci je ma prawo zabrać, choćbyś potem z głodu umarł.

Niech was przeto ręka Boska broni, abyście się mieli wdawać w długi wekslowe, bobyście najporządniejsi dziś gospodarze, poszli z torbami. Widzicie może nie raz, jak to i możniejsi panowie, tracą majątki, i wychodzą z niczem; a wjecie co ich po większej części zubożyło? oto długi wekslowe. Tonący brzytwy się chwyta! pożyczył raz, drugi, procenta rosły, prawo wekslowe nie poda-

ruje, no i takim sposobem poszedł majątek. Więc kiedy się to i bogatszym stało, cóż dopiero z wami biedakami. Strzeżcie się więc tych wekslów jak ognia, i już lepiej ciężej zapracujcie, albo gdzie u poczciwego sąsiada na jakiś zastaw pożyczcie, gdy was bieda przyciśnie, a jeno nie na weksel błagamy was.

Najlepiejby było, gdyby jak kiedyś będą gminy jak się patrzy, żeby wszędy mogły być takie gromadzkie kasy, coby z dobrowolnych składek urosły, a coby potem z takiej kasy wziął sobie gospodarz w potrzebie, na 4 procent pieniądze; i oddałby jak przyjdzie czas do grosza, a kasa by się z procentów powiększała. Moi ludzie kochani, gdybyście tylko nad tem pomyśleli, i mieli chęć szczerą, tobyście sobie taką kasę powoli w każdej gminie urządzić mogli. A jakby to potem taka gmina zamożna i szczęśliwa była! Do tego trza jeno dobrej woli i pomyślenia. Ot tak, na ten przykład: Będzie w jakiej gromadzie większej 500 gospodarzy; niech ona sobie kupi skrzynkę żelazną, i z wiedzą rządu odda ją do wójta, i niech sobie każdy gospodarz postanowi dawać do tej kasy co tydzień tylko jeden cent; to przecie może każdy i nikogo nie zuboży. Wiecie wy ile z tego centka za jeden tylko rok będziecie mieli w kasie? Oto, mielibyście ludkowie kochani z tego jednego co tydzień głupiego centka, już za rok w kasie gromadzkiej 260 reńskich, a gdybście po dwa centki dawali, mielibyście drugie tyle, i jużbyście sobie z niej na drugi rok wypożyczać na 4 od sta mogli, i kasa by rosła. A gdybyście tak przez trzy lata po cencie składali, tobyście mieli oprócz procentów, czystego grosza w kasie 780 reńs., a po dwu latach 1,560 reńskich, a jaki to już piękny pieniądz. Widzicie, co to z oszczędności jednego, dwóch centów zrobić można? A czy też to nie raz ten cent na co niepotrzebne nie zmarnujecie! co gdybyście go w ten sposób użyli, wychodziłyby całe wsie z biedy teraz a dzieciom waszem jużbyście dobry byt i szczęście zapewnili.

Rozbierajcie to często w waszych głowach, i uwierzcie naszym słowom, i spróbujcie, a dojdziecie do szczęścia i do swobody, bo my wam tego tylko życzymy, a z tego my się potem wielce radować będziemy, żeśmy wam to na wasze dobro doradzili.

Co słychać na szerokim świecie.

Z Wiednia donoszą, że się tam panowie ministrowie przekonują, o rzetelności Polaków w Galicyi, i że są dla Galicyi bardzo życzliwi. Piszą także, ale to jeszcze nie jest rzeczą pewną, że pan minister skarbu, miał Najjaśniejszemu Panu podziękować za służbę, i wystąpić z Ministeryjum, zapewne dla tego, że sprawa o pożyczkę idzie trudno, i chcą bankiery wielkie procenta; to się pan minister boi, aby potem na niego nie było, że źle w skarbie gospodaruje.

Donoszą także, że niezadługo będą nowe 5cioreńskowe papierki.

Piszą też o poborze do wojska, jako teraz przy poborze na rok przyszły, będzie dużo lżej. I tak: co potąd brano syna, jeżeli ojciec nie miał lat 70, to teraz jak ma 60 lat, to mu już syna nie wezmą. Także wiek brata, na którego przechodzi majątek, co był dotąd wymagany lat 15, to teraz podnieśli do 18stu. Dalej uznano, że kto ma 56 cali wiedeńskich, choćby był zdrowiuteńki, to już niezdatny do wojska. Także opłata uwolnienia od wojska została zniżoną na pół, t. j. na 1,000 reńskich.

Znaczniejsi urzędnicy z Galicyi pojechali do Wiednia, aby się naradzać nad przyszłem ułożeniem urzędów; i piszą, że ani cyrkułów, ani powiatów nie ma być, tylko na miejsce powiatów, których jest u nas aże 182, ma być 75 starostw jakichś. Niech ta będzie już co chce, byle to złe co było dokuczliwe zeszło, a przecie było raz już lepiej!

Francyja. W Paryżu, to o niczem nie mówią, tylko o tem, że cesarz Napoleon dał taki piękny przykład miłości bliźniego, i odwiedził ze swoją

żoną szpital choleryczny. Piszą, że dotąd cholera się tam nie zmniejsza, ale wzmaga, lecz teraz jak mrozy nastaną, to da Pan Jezus, że może ustanie. Ale cesarz Napoleon, przemyśliwa nad tem, aby na przyszłość można za pomocą Boga, od tej strasznej klęski cholery cały świat ochronić, i dla tego posłał pismo do wszystkich Mocarzy, prosząc ich, aby tak jak dawniej na kongres, poprzysyłali posłów swoich w jedno miejsce, i nad tem naradę zrobili. Bo to widzicie, jest taka rzecz: Wszyscy Muzułmanie, to jest Turcy, lub tacy co turecką religiją wyznają, mają grób swego wielkiego proroka Machometa, którego czczą jak Boga, w Azyi w Mekce; i otóż oni przez pobożność w swojej religii, mają sobie za obowiązek odwiedzać grób tego proroka. Wybierają się więc w tę pielgrzymkę, nie przymierzając jak my na odpust, w wielkiej masie ludzi, tak dalece, że ich się tam czasem i 200 tysięcy ludzi zjedzie. I przyszedłszy tam do tej Meki, biorą ogromną ilość bydła, i palą je na ofiarę na tym grobie, tak jak to robią poganie. Tak dużo tego bydła tam palą, że tego roku, to mieli kilkaset tysięcy spalić. A że tam jest bardzo gorący kraj, to bydlęta nie spalą się całe, ale połowa ścierwa zostaje; do tego także wielkie mnóstwo schodzi się w jednem miejscu ludu, to nie dziw, że się tam do razu morowe powietrze zawiąże, i co rok cholera ztamtąd do naszej Europy przychodzi. Otóż widzicie, na to będzie komisyja ustanowiona, i zjadą się na nią ze wszystkich mocarstw posłowie, aby jako radzić, aby Turcy ten swój pogański ciemny obyczaj, jakoś inaczej obchodzili, aby na świat przez nich, nie rozchodziło się morowe powietrze. Bo choć prawda, że wszystko jest w ręku Boskiem, ale człowiekowi dał Pan Bóg rozum i wolą, a strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Z Anglii donoszą o wspaniałym pogrzebie tego ministra Palmerstona, co pomarł, żył on długo ale nic dobrego, chociaż mógł, dla nas nie zrobił, i jako że już jest inny minister na jego miejscu. Ciekawość, czy ten nowy będzie podobny do tamtego, albo czy też rządy w Anglii zmienią się? A Anglija jest można, i mądrze uczona, to gdyby chciała, wiele może we świecie.

Z Turcyi piszą, że tam znów poczęły się złe rządy, i że się to państwo tureckie lada dzień rozpadnie, bo długi ma straszne, a do tego jeszcze sułtan, cesarz turecki, co miał dobrą głowę i rządził dobrze, i byłby może wszystko na dobre wyprowadził, zapadł na umyśle, tak jakby mu się rozum pomięszał, i mówią, że już do zdrowia nie przyjdzie. To też dzieje się w kraju wielki nieład, urzędnicy kradną skarb, i robią co chcą, bo gdzie już przewodnik jaki kiepski, toć wszystko idzie kiepsko.

Z Moskwy piszą, że spisek „rewolucyja" był na całej Syberyi ułożony, i to przez Moskali; ale go odkryli, i stłumili. Donoszą także, że ma być pobór wielki do wojska, bo 4ch ludzi z tysiąca, zacznie się w Polsce w Styczniu roku przyszłego.

Królestwo Polskie.

Bardzo smutna rzecz stała się w Warszawie; bo znowu straszne a nowe okrucieństwa moskiewskie. Oto na dniu 27mym Października, o godzinie 4tej rano, złapali Moskale z własnego mieszkania księdza Rzewuskiego, i wywieźli het w głąb Moskwy do miasta Astrachania, zwanego.

Ta wielebna osoba duchowna, ten ksiądz Rzewuski, był najstarszy przełożony nad duchownymi w Warszawie, bo to on zastępował tego uczciwego biskupa Felińskiego, co go to Moskale, jeszcze w czasie powstania do Moskwy wywieźli. Otóż ten czcigodny kapłan, tak jak i tamten biskup, nie mógł pozwolić na wszystkie gwałty naszej religii ś. jakie się tam w Polsce dzieją, i jak mógł to się opierał, i bronił wolności i praw Kościoła katolickiego, o co się Moskale zgniewali, i ze samego Petersburga przyszedł rozkaz, aby go wywieść precz z Warszawy, do krajów moskiewskich. Jaki to smu-

tek musi być w Warszawie, za ukochanym pasterzem, to wam i pisać nie trzeba.

Rozmaite przytrafunki.

W Popowcach, wsi nagranicznej, w obwodzie tarnopolskim, żandarm moskiewski, ze zawziętości ku jednemu chłopu, podpalił jego zabudowanie, i biedny chłop stracił całe swoje mienie, kilkanaście sztuk bydła, kilka koni, i 30 owiec. Za wdaniem się władzy tamtejszej, toczy się proces z tym żandarmem. Mamy nadzieję, że ten Moskal surowo ukaranym zostanie, skoro moskiewskie gazety o podpalania posądzały Polaków.

Gazeta „Hasło" donosi, że hrabia Lewicki, właściciel wsi Baszczowic, gdzie się niedawno spaliło 30 domów, darował chłopom dotkniętym tym pożarem 300 reńskich gotówką, 39 korcy zboża, i wszelki materyjał do budowania. Niech Pan Jezus takiemu panu błogosławi!

W przeszłym miesiącu, była do sądu Lwowskiego dostawiona Barbara Szuliga z Rudy Wróblaczyńskiej 86cioletnia staruszka, która się przyznała, ze w skutek kłótni domowej podpaliła budynek swojego krewnego. Sąd nie osądził ją jeszcze, gdyż zdaje się, że z osłabienia ze starości, ma pomięszanie zmysłów, i dla tego to uczyniła.

W powiecie kołomyjskim, we wsi Słabudki, którą to wieś dziedzic sprzedawał żydom, o czem gromada dowiedziawszy się, złożyła się za poradą swego plebana, i zakupiła całą wieś dla siebie. Dziedzic zaś widząc ich ochotę, opuścił im wieś o cztery tysiące reńskich taniej, niż chciał od żydów. O takich przytrafunkach to aże miło nam donosić.

Pamiątka po dziedzicu. Hrabia Leon Rzewuski przedał swoje dobra Podhorce i Zahorce; aby zaś zostawić po sobie pamiątkę gromadom, zapisał im 10 tysięcy reńskich. Z tych pieniędzy pójdą coroczne procenta na pożyczkę, zapomogę, na lekarstwa, i inne potrzeby wieśniaków. Piękna to pamiątka! Toż to po takim dziedzicu jest czego żałować, i za niego prosić Pana Boga.

Znowu kiedyś we Lwowie, stawał przed sądem wieśniak Stelmach z Wielkich Mostów, o podpalenie. Ponieważ człowiek ten był znany ze swego złego serca, a dotego już raz więzieniem karany, sąd skazał go na 18cie lat ciężkiego więzienia.

Piękny przykład. Niejaki pan K... przejeżdżając przez rogatkę Lwowską, płacąc strażnikowi, wyjął z kieszeni zamiast centa, dukata czerwonego. Lecz gdy po chwili spostrzegł to strażnik, dogonił go, i oddał mu dukata. Strażnik mógł był łatwo schować sobie dukata, i pies byłby o tem nie wiedział, ale patrzcie jak sobie rzetelnie i pięknie postąpił; bo nie sztuka być cnotliwym z potrzeby i z musu, ale wtedy kiedy mamy okazyją do grzechu, a oprzemy się mu. Widzicie, ten czyn jego będzie po całym świecie opisany; a nad to wszystko jest on napisany w niebie!

Znów dwa nieszczęścia w Krakowie. Wyrobnik jakiś na Wesołej, został tchnięty apopleksyją, i został na miejscu nieżywy; a tego samego dnia murarz znów jeden spadł z dachu na przedmieściu Piasek, i niedługo żyć przestał. Potem znowu zapalił się dach na domu w Podgórzu, niedaleko parowego młyna, ale przecie szczęśliwie ogień prędko przygaszonym został.

Same nieszczęścia. Znów kiedyś w Krakowie, cieśla pracując, padł rażony nagłą śmiercią, to jest apopleksyją. Jakoś ta nagła śmierć panuje u nas w jesieni.

Ale co już donoszą z pod Radymna ze wsi Ostrowa, to okropność, co się tam w jednym dniu stało nieszczęśliwych przytrafunków. Najpierw podczas nabożeństwa w kościele, powstał ogień we wsi, paliły się dwie chałupy. Ale bardzo prędki ratunek z miasta od powiatu, przy którem ratowaniu i sam pan naczelnik się znajdował, zahamował przecie szerzeniu się ognia dalej. Stało się jednakże przez nieprzytomność służącej wielkie nieszczęście, gdyż ta nie pilnując dzieci, nie wiedziała gdzie one są, i tym sposobem spaliło się jednemu gospodarzowi dwoje dzieci: jedno 5cio-letnie, a drugie 3ch-letnie; znaleziono je dopiero przy rozrucaniu spalenisk, na który widok, biedni rodzice padli jak nieżywi na ziemię, od wielkiego żalu.

„Gazeta Narodowa" donosi, że lud wiejski był tam taki leniwy, że do ratowania swoich, najmniej się przykładał, i tak robi prawie wszędzie, mając w tem jakiś zabobon, aby palących się budynków nie ratować. Jeżeli to jest prawdą, to ludzie kochani przyznać wam trzeba, że jesteście jeszcze tak ciemni, i na pół dzicy, jak to o was po innych krajach piszą. I prosimy was, co wy macie w tem za zabobon, że się boicie ognia rozrywać? Ktokolwiekby wam jakie głupie gusła o tem mówił, to mu nie wierzcie, i w oczy mu naplujcie, bo inaczej będziecie mieć okropny grzech na sumieniu. Spytajcie się o to waszych kapłanów, czyli to nie jest obowiązkiem każdego katolika, gdy widzi że się pali gdzie niedaleko, lecieć zaraz ratować mienie bliźniego, choćby się palił nie wiem kto? Czy to twój brat, czy żyd, czy Turek, czy

nawet Moskal, czy największy twój nieprzyjaciel, twoją powinnością jest ratować bliźniego, i rozrywać ogień, aby się dalej nie szerzył; a nie wierzyć w żadne gusła ani w zabobony. Jak się w tem nie poprawicie, to Dobrodzieje będą o to na was z ambon wołać, i zawstydzą was wszędzie.

Ale jeszcze nie dosyć nieszczęść było tyle; bo tego samego dnia było tam w Radymnie wesele, na którym był mieszczanin Kałdun, bednarz z profesyi. Otóż kiedy zasiedli do wieczerzy, i on bednarz był wesoły i zdrów, na raz padł bez duszy. Przywołali doktora i pokazało się, że mówiąc jadł mięso, przez co udławił się tak nieszczęśliwie, że życie zakończył.

Piękny czyn. Na Zwierzyńcu w Krakowie, chłopczyk 8mio-letni, wpadł przypadkiem do Wisły i był bliski utonięcia; lecz wtem nadszedł jakiś pan myśliwy, zrzucił do razu ze siebie torbę i strzelbę, wskoczył do Wisły i wyratował dziecko; co zrobiwszy uciekł, nie czekając podziękowania rodziców. Dopiero potem rodzice dowiedzieli się, że tym wybawcą ich syna, był kapitan nazwiskiem Prucher z pułku hanowerskiego. Widzicie, uczcie się ludzie prości od oświeconych osób, jak to taki człowiek, że jest oświecony, to on choć kapitan, nie lenił się wskoczyć w wodę dla ratowania bliźniego.

Z Paryża donoszą, że cholera jest tam co raz większa; ale co jest rzecz przepiękna, to że cesarz Napoleon i jego żona, to chcąc biednych chorych pocieszyć i odwagę w nich wzbudzić, odwiedzają sami szpitale, gdzie leżą choleryczni, i cieszę ich, nie bojąc się zarazić. Widzicie, jaki to piękny przykład nam biednym ludziom, a niechciałoby się może tak narażać na śmierć, a tu cesarstwo a nielenią się przynieść ulgę bliźniemu.

Z Brodów, tam od Wołynia donoszą, że cholera już jest na Wołyniu, pod rządem moskiewskim; idzie więc do nas ta straszna choroba z dwóch stron: ze zachodu, i ze wschodu. Któż wie, czy się nie będzie Panu Bogu podobało, spróbować nas tem nieszczęściem. Dla tego prosimy was, zachowujcie te ostrożności, o których my wam już pisali, to jest aby ilemożności było po waszych chatach czysto i porządnie; bo gdzie nieczystóść i złe powietrze, tam najwięcej ośób umiera. Bądźcie także trzeźwemi, i nie najadajcie się dużo, osobliwie na noc. Ksiądz proboszcz z Panikowicy podaje z doświadczenia, dobry środek przeciw cholerze, a to aby do kieliszka wódki wlać 6 kropli dziekciu brzozowego, i to pić co rano na czczo, kiedy się już cholera zacznie do nas zbliżać. Ten proboszcz mówi: że jak ostatnia cholera była, to kto tego lekarstwa używał, to nie dostał cholery.

Nowsze wiadomości.

Z Litwy donoszą, że tam wyszło takie rozporządzenie, że każdy urzędnik, co chce mieć służbę w rządze moskiewskiem, musi przejść na wiarę moskiewską syzmatycką. Wypadnie z tego bardzo źle, bo wielu rzędników katolików, obarczeni dziećmi, któż wie, czy jak to mówią: „Tonący brzytwy się trzyma,“ czy z rozpaczy nie przejdą na syzmę. Ale patrzcież, jak to rząd moskiewski sztuką zachodzi, aby jeno szerzyć wiarę syzmatycką. Drugie rozporządzenie zakazuje znów, aby się nikt z Polaków, nie nazywał na „ski,“ np. Gruszeński, tylko „skoj“ z moskiewska np. Gruszenskoj. Bo oni widzicie, chcą duchem wiarę naszą, i imie polskie wygubić, tam pod swoim moskiewskim rządem, a to nie tak łatwo zniszczyć to, co Bóg postanowił.

Z Węgier donoszą, że tam w Peszcie w stolicy węgierskiej, robią wielkie przygotowania na przyjęcie cesarza Austryi, który ma tam przybyć w Grudniu, i zostać trzy miesiące pomiędzy Węgrami.

Dnia 8go t. m. z większej własności ziemskiej został wybrany posłem w Krakowie, pan hrabia Ludwik Wodzicki. W Złoczowie z większych posiadłości wybrali hrabiego Gołuchowskiego. W Stryju został obrany posłem także hrabia Gołuchowski. W Przemyślu z większych posiadłości obrali pana Zygmunta Kozłowskiego. W Samborze wybrali pana Gniewosza, sekretarza lwowskiego namiestnictwa. W Stanisławowie z większych posiadłości wybrali pana Kabata adwokata, i pana Apolinarego Huppena dziedzica Sworyczowa. W Zaleszczykach został wybrany hrabia Russocki. Dalsze w innych miejscach wybory, odłożone na inny dzień. Gdzie kogo obiorą doniesiemy wam.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

Roman Kieres.

Nakładem Redakcyi. Współpracowniczka *L. Leśniowska.* W Drukarni *Józefa Bensdorffa.*